

Życie Warszawy

WARSZAWA

DZ. Nr 245 19-10-2001

MUZYKA. Prapremiera w Warszawskiej Operze Kameralnej

Kreon u Giovanniego

Jeszcze przed premierą kompozytor Zbigniew Rudziński obficie wypowiadał się na temat swojej opery. Nad różnicą między deklaracjami a gotową sceniczną wizją „Antygony” nie sposób jednak przejść do porządku dziennego.

MACIEJ WERYŃSKI

Różnica owa nie wynika z problemów scenicznych czy wokalnych, choć i takie dały o sobie znać podczas pierwszego przedstawienia „Antygony”. U źródła leży, jak myślę, sama muzyka.

„Napisałem muzykę, która ma być bardzo dramatyczna. Chciałbym, aby była ona dla widzów i słuchaczy czytelna” — pisze Zbigniew Rudziński w programie. Czy muzyka jest w istocie dramatyczna? Pierwsze wrażenie: tak! Tyle, że kompozytor nie zdecydował się na jakiś muzyczny idiom. Rozpoznajemy elementy dramatu muzycznego w typie wagnerowskim, aria Antygony z I aktu (i nie tylko ona) jako żywo przypomina Henryka Mikołaja Góreckiego, w II akcie (znów w partii Antygony) nagle pojawia się Szymanowski (coś jakby jego „Demeter”), by ustąpić miejsca sopranowej lamentacji z „Requiem” Romana Maciejewskiego... Chór jest jakiś taki penderecki, i to nie tylko, gdy sucho deklamuje czy „stuka”. Całość zaczyna przypominać coś na kształt muzycznych puzzli, jeśli nie quizu „Gdzieś to już słyszałem”. Efekt: dramatyzm rozmywa się wśród skutecznie odwracających uwagę od właściwego dramatu gier rozmaitymi stylami.

Nadal jednak można, przy dużej zdolności koncentracji, próbować



Dorota Lachowicz (Antygona) i Justyna Stępień (Ismena) w I akcie opery

odczuć „litość i trwogę”, którą za Arystotelesem zaleca nam kompozytor. Do momentu, w którym chór zwraca się do Kreona cytatem z „Don Giovanniego” Mozarta. „Kreonie,... a cenar teco m'invitasti e son venuto...” — chciałoby się dopiewać. I o litości i trwodze nie ma już mowy, nie mówiąc już o czytelności zamiaru. Dlaczego Giovanni? Że był łajdakiem, a Kreon (może, bo to ani z muzyki, ani z inscenizacji nie wynika) też jest? Robi to wrażenie zabawy, gierki z odbiorcą, stawia pod znakiem zapytania wszyst-

ko, co wcześniej można było jeszcze wziąć serio. Czy poprzednie podobieństwa były także zamierzone? Czy może lament Antygony też był zabawą ze słuchaczem? Jeżeli tak, to nie rozumiem już nic. Jeżeli nie, to nie rozumiem, po co był ten nieszczęsny Giovanni. Ale na pewno nie przeżywam już żadnego scenicznego dramatu, bo zastanawiam się nad czym innym. Postmodernizm czy żart? I jednego, i drugiego w „Antygonie” nie tylko bym się nie spodziewał, ale też nie potrafię przyjąć spokojnie.

Zdaje się, że nie rozumieją tego wszystkiego także wykonawcy, w czym zresztą nie pomaga im reżyser Jarosław Kilian. Dorota Lachowicz w dobrej formie wokalne (Antygona) robi co może, ale musi się w tym zgubić. Józef Frakstein (poniżej swoich możliwości) wydaje się już kompletnie nie wiedzieć, kogo gra — łajdaka, tyrana czy ofiarę fatum. W tej sytuacji najbardziej podobają się wskazujące na scenę epizodycznie Erynie...

Zbigniew Rudziński „Antygona”, reż. J. Kilian, kier. muz. T. Karolak, WOK